



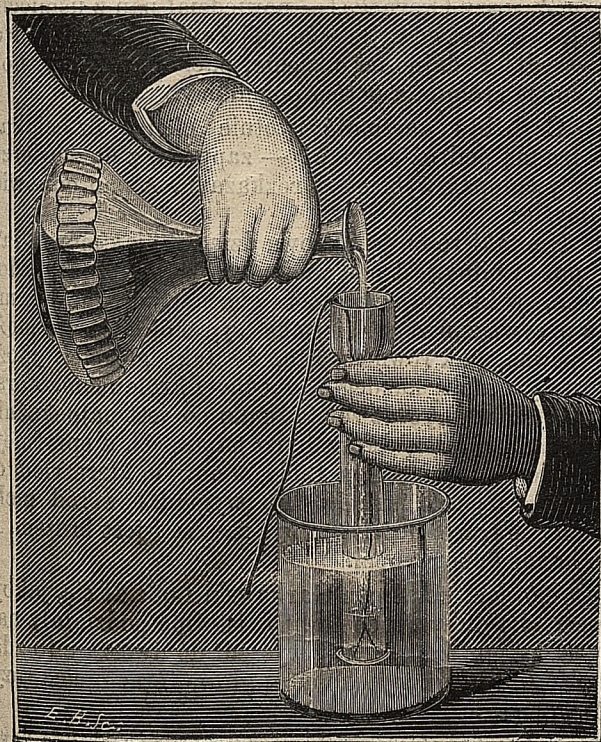
WIECZORY WRODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Weźmy szklanekę, lub fiaskę próżną i spróbujmy ją zanurzyć dnem w wodę. Będziemy musieli przyciskać trochę

to próżne naczynie, a jeśli przestaniemy cisnąć, to je woda wypchnie do góry. Weźmy teraz szkło od lampy, przykryjmy szczelnie otwór jego krążkiem tekturowym, na sznureczku uwiązanym i szkło to próżne, z owym dnem sztucznym, zanurzymy w naczyniu z wodą. Teraz możemy śmiało sznurek puścić, woda tak silnie krążek wypycha w górę, że będzie się trzymał, jakby dno prawdziwe. Ale spróbujmy nalać wody do rurki. Póki jej będzie niedużo, krążek się utrzyma, lecz gdy woda w rurce zrówna się z poziomem swoim z tą, którą szersze naczynie zawiera, krążek natychmiast odpadnie. Rysunek nasz niedość wyraźnie to wszystko wskazuje, krążka zwłaszcza nie widać wcale i sznurek wygląda, jakgdyby był tylko do otworu rurki uciepiony. Trzymając się ściśle opisu naszego, z łatwością to doświadczenie wykonacie.

Woda złożona jest z cząsteczek, swobodnie poruszających się na wszystkie strony. Dlatego też zawsze musi się ułożyć do równowagi, w rzekach, w morzu, tak samo, jak i w naczyniach, powierzchnia wody jest zupełnie płaska, bo żaden pagórek nie mógłby się na niej utrzymać, zarazby się cząsteczki zaczęły przesuwać i powróciły do równowagi. Tylko siła jakaś zewnętrzna, jak np. wicher gwałtowny, podnosi fale i bałwany morskie. Jeżeli woda napotka przedmiot lżejszy od siebie, to go wypycha, cięższych zaś wypchnąć nie może, więc ołów, żelazo, opadają na dno wody, a drzewo pływa po wierzchu.

Powietrze jest lżejsze daleko od wody, gdy więc szkło od lampy próżne, powietrzem tylko wypełnione, wtłoczmy w wodę, ona je wypycha, dążąc do równowagi. Nie może

jednak przemódz siły ręki, która szkło trzyma, naciska tylko dno, ów krążek tekturowy. Lecz gdy nalejemy z góry wody do rurki, już tém samém przywracamy wodzie równowagę, ciśnienie cząsteczek wodnych staje się jednakowe z góry i z dołu, dlatego też krążek opada.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M...a

(Dalszy ciąg).

XI.

O szaraku który siedział w kapuście.

Złoty pacholik miał nadzieję, że po świetnie skończonej Grünwaldzkiej bitwie i po ukończeniu wojny z Krzyżakami, pan Zawisza Czarny wróci do rodziców i będzie o wojnie opowiadał różne cudne rzeczy długimi wieczorami przy ognisku, ale zawiódł się chłopczyzna i poczuł jakiś ból koło serca, gdy przysły wieści, że pan Zawisza pojechał już do króla Zygmunta, wcale do Garbowa nie zaglądając.

— Oho, moja panno — powiedział zaraz pan Garbowski do żony — jest w tém coś ważnego: jużby Zawisza pewno nie minął sposobności pokłonienia się rodzicom, gdyby obowiązek jakiś rycerski nie odwołał go kędyś gwałtownie w inną stronę. Ejże, tylko słuchać, jak coś nowego a ważnego zajdzie na świecie!

Złoty pacholik, słysząc taką pana mowę, oczekiwał dniem i nocą w niepokoju czegoś nowego a ważnego, bo doświadczeniu starego pana Garbowskiego święcie wierzył. Jakoż wierzył słusznie. Wkrótce zaczęto przebąkiwać, że świetne Grünwaldzkie nad Krzyżakami zwycięstwo obudziło dawną a okrutną zawiść króla Węgierskiego Zygmunta, przyjaciela Krzyżaków, przeciw Polsce.

— Ejże, byle tylko po jedném krwawem zwycięztwie nie trzeba nam na drugie i bogdaj równie szczęśliwie pracować, oby do wojny z Węgrami pod te czasy nie przyszło! — powiedział pan Garbowski przy niedzielnym późnym obiedzie, gdy jak zawsze, wypadało bawić poważną rozmową życzliwych gości, ściągających na ten dzień do Garbowa przez sąsiedzką życzliwość dla staruszków, nie wydalających się z domu. A na to rzecze pan miecznik, powracający właśnie prosto z Krakowa:

— Bądźmy dobrej myśli, panie a bracie, wszak jest tam na straży naszych interesów waszmościna syn Zawisza, to już on złego nie dopuści.

— Wolne żarty łaskawego gościa — odpowiedział pan Garbowski — Chciałby ci niemylnie mój Zawisza nie dopuścić na nas nic złego, ale cóż on tam może uczynić w rzeczy tak ważnej, acz uczony jest wielce i rycerz sławny.

— Jakoż? to więc waszmoście pan chyba nie wiesz, że pan Zawisza Czarny, prawdziwie na rozjemcę królów wyszedłszy, rokowania prowadzi i godzi, i pono ostatecznie zjazd między naszym królem Władysławem i węgierskim Zygmuntem ustanawia — rzekł miecznik.

Pan Garbowski zaszepił się cokolwiek, bo mu się zdawało że miecznik, w dawną zażyłość ufając, pozwala sobie żartować, i przypuszczenie to tak zabolalo starego, że gdyby nie to, iż we własnym domu z gościem miał do czynienia, byłoby może przyszło do zwady. Ale jako gospodarz, zmilczał pan Garbowski, acz z trudnością, i ten przymus tak go kosztował, że nazajutrz aż zaniemógł z iryacji. Leżał tedy na łóżku żelaznym, stękając i nic nie jedząc, gdy najprzód tętent dał się słyszeć w bramach, a potem weszła z wolna do pańskiej komnaty sama pani, niosąc osobiście list.

— Może też znajdzie się dla jegomości jaka pociecha w tém piśmie, bo jest ono od Farureja! — rzekła podając.

— To posyłać jejmość po księdza Kapelana co prędzej — powiedział — więc pani Garbowska usiadła z boku łóżka, i kazała prosić księdza kapelana, który przyszedłszy tak czytał:

„Piszę do waszych miłości, rodziców naszych najukochańszych w tajemnicy przed bratem Zawiszą, a to dla tego, że o niego właśnie rzecz idzie. Oto, jak już pewno waszym miłościom wiadomo, brat Zawisza, po częstych przejażdżkach od króla Zygmunta do Króla Jagielly i napowrót, potrafił wreszcie pogodzić te zwaśnione strony, których zaufanie całkowicie pozyskał. Ułożył tedy po wielu rokowaniach rozejm między tymi królami, a teraz mają być przedugodne zjazdy różne w Lubowli, a potem zjazd króla Jagielly Władysława z królem Zygmuntem w Budzie. Zatem czynią się tu w Budzie wielkie już przygotowania ku świetnemu uczczeniu owego zjazdu, na co wszystko patrząc, pomyślałem sobie, że i bratu Zawiszy należałoby o świetne pozory trochę więcej dbać, niż on to w surowej rycerskiej prostocie uważa. Nie mówiłem mu tej myśli mojej, gdyż pewny jestem, iż odpowiedziałby mi jak to zwykł, że „orszakiem rycerza są cnoty, bogactwem wiara, a świetnością czyny waleczne”. Wam jednak, miłośniwi rodzice, powiadam, iż Zawisza Czarny, brat mój, po skończonej Grünwaldzkiej potrzebie, nie rościł sobie jak inni praw do nagrody żadnej, uważając za obowiązek rycerski służyć darmo ojczyściej sprawie, a i teraz, jeżdżąc tam i sam, a służąc ciągle tejże sprawie, sam własne osobiste zaniedbał, więc gdyby tam w Garbowie były jakie konie i ktoś ze sprawnych a wiernych dworzan, ku powiększeniu i uświetnieniu orszaku pana brata Zawiszy, to podczas uroczystości tego przyszedłego zjazdu bardzoby mu się, jak sądzę, przydały...”

Tu czytanie przerwane było najniespodzianiej, bo Złoty pacholik tak nagle upadł na kolana u łóża pomiędzy leżącym panem i siedzącą w krzesle panią, że oboje aż się wstrzęśli ze zdziwienia. Ale znając go już teraz dobrze, domyślił się, zanim usta otworzył, o co chciał błagać.

— Oho, otóż i jest już jeden ochotnik do uświetnienia orszaku Zawiszy Czarnego! — powiedział pan z uśmiechem — ha, a to więc prawda jest, że mój Zawisza na rozjemcę królów wyszedł! Podajno mi odzienie, pacholiku Złoty, bo jakoś lepiej mi się zrobiło, a potem pogadamy.

— Czyliżbyś waszmoście istotnie chciał dzieciaka tego w tak trudną podróż posyłać? — zapytała z niedowierzaniem pani, gdy chłopak wybiegł za rozkazami. A pan odpowiedział po namyśle:

— Nie taki to on jest znowu dzieciak, jak mówią lata, bo roztropany i bitny jest nad wiek. A i wiek też jego dobiega do kresu, w którym na stopień giermka wstąpić już można; że zaś przywiązańszego giermka syn mój mieć nie może, to rzecz pewna, jak również i to, że taki giermek może być prawdziwą ozdobą każdego, choćby i królewskiego orszaku. A zatem trzeba wybrać ze stadninki co jest najpokaźniejszego, oporządzić kilku dworzan co młodszych a sprytniejszych i posłać do téj węgierskiej Budy z nowym giermkim copędzją, aby rozjemca królów nie wyglądał wśród nich zbyt skromnie; Farurej uczciwym był zawsze i jest bratem, i dbałym o honor domu synem.

Tak mówiąc, wstał pan Garbowski i odział się, jakby najzdrowszy, bo otrzymane nowiny istotnie podziałały nań jak cudowny balsam jaki, a gdy wyszedł do dworzan, to zdawało im się, że urosł, tak wysoko nosił głowę teraz ojciec rozjemcy królów.

Stary dworzec Garbowski i dworek w Dębince zawrząły następnie przygotowaniami, przy których w tym ostatnim zwłaszcza nie obyło się bez łez rzęśistych. Dziesięć przepysznych i strojnych koni szło w drogę z Garbowa, pod opieką czterech najdorodniejszych młodych dworzan, piątym miał być młody giermek, który tymczasem przysposabiał się całą duszą do wstąpienia na ten upragniony stopień zaszczytny. Naznaczono dzień na tę uroczystość, świetną i kosztowną dla

młodzieńców pochodzących z wielkich i bogatych rodzin, ale którą dla ubogiego Jaśka z Dębinki, zwanego Złotym pacholikiem, trzeba było do jak najskromniejszych ograniczyć rozmiarów, byle tylko samym istotnym warunkom rycerskiego obrzędu zadość uczynić, jak to zazwyczaj w podobnych okolicznościach bywało. Znowu tedy obyło się bez wspaniałych zabaw, pościli tylko rodzice przyszłego giermka przez dni trzy na jego intencję i nabożeństwo w zamkowej kaplicy odprawiał ksiądz kapelan przez te trzy dni, a Złoty pacholik słuchał go na klęczkach, prosząc oczywiście także i to suchotami, o chlebie i wodzie. Ostatnią noc całą pozostał on sam jeden na modlitwie w kaplicy oddalonej, klęcząc przed ołtarzem na wielkiej marmurowej płycie, stanowiącej wejście do grobów zamkowych, jedna tylko lampka przed ołtarzem błyszczała słabym światelkiem, a drugie daleko jaśniejsze światło płonęło w duszy młodego chłopca, rozświecając mu stromą druzynę, wiodącą do rycerskiej doskonałości, na której szczycie stał Zawisza Czarny. Czternastoletni chłopczek modlił się żarliwie, o to szczególnie prosząc Boga, aby raczył mu zesłać śmierć natychmiastową, jeżeliby kiedykolwiek w życiu miał popełnić nikczemność, obrażając wiekiustą prawdę.

(d. c. n.)

POŻYTECZNY BRYŚ.

Dzień prześliczny, słońce świeci,
Ptaszki, pieski, trawki, dzieci,
Wszystko cieszy się po zimie,
Bryś tylko w budzie drzemie,
Obojętny, rozespany,
Nawpół w siano zakopany.
Zeszła piesków się gromada,
Jak to gawiedź śmiać się rada,
Nuż na fundusz brać go trocha
I wyśmiewać się ze śpiocha;
Aż pies jeden tłusty, gruby,
W wielkim futrze, jakby z szuby,
Pieszczoch, tylko co umyty,
Obróż zdobną w aksamity
Na mięciuchnym mając karku,
Idąc z dworu do folwarku,
Spojrzał na to zbiegowisko,
Wnet do Brysia przyszedł blisko,

* * *

I tak rzecze z dumną miną:
— O, ty marna, nędzna psino!
Wychowana w lichój budzie,
Gdzie nie zajrzą nigdy ludzie,
Ani psy wyższego stanu,
Co przywykły przy swym panu
W puchach spać na aksamicie...
Jakże nędzne jest twe życie!
I jakże cię znikczemniło,
Kiedy na sielankę miłą,
Na przyrody cudne wdzięki,
Na wiosenny trawnik miękki,
Na wspaniałe blaski słońca,
Znieczulony... śpisz bez końca!...

* * *

Temi słowy Bryś zbudzony
Spojrzał się na wszystkie strony,
Westchnął, sapał, i tak powie:
— Moje... panie i panowie!...
I wykwintny ty pieszczochu,
Wiedźcie, że i jam po trochu
Te piękności odczuć zdolny,

I gdybym był, jak wy, wolny,
Tobym chętnie po ogrodzie
Dokazywał z wami w zgodzie.
Ale, ja pilnuję domu,
Nie dam zbliżyć się nikomu
Przez noc całą, noc w noc w trudzie,
Nie posiedzę chwili w budzie,
Tylko strzegę wciąż folwarku,
Bo ten folwark mam na karku!
Dobro pańskie na mej głowie,
Byt, a nawet samo zdrowie!...
Więc po nocy ciężkiej takięj,
Śpię w dzień smaczno, jak bobaki,
Czym zaś nikczemniejszy przeto,
Ze nie chlubiąc się zaletą,
Iżbym spał na aksamicie,
Pożyteczne pędzę życie?...
O tém niechaj sądzą ludzie,
Którym służąc, sypiam w budzie!
Rzekłszy, machnął Bryś ogonem,
Na rozstanie z piesków gronem,
Legł na sianie, kiwnął głową,
I zachrapał wnet na nowo.

Azet.

Gród starożytny zagrzebany pod ziemią.

Grecy nie znali igrzysk okrutnych, za któremi przepadali Rzymianie, nie było u nich owych cyrków, gdzie tysiące ludzi ginęło w krwawych zapasach z drapieżnymi zwierzętami; zabawy Greków szlachetniejsze miały cechy, nie pociągały za sobą rozlewu krwi, polegały głównie na ćwiczeniach ciała gimnastycznych i szermierskich, celem ich było wyrabianie siły i zręczności w młodzieży. Igrzyska te zazwyczaj połączone były z uroczystościami religijnymi, nosiły nazwy rozmaite, pitujskie, nemejskie, istmickie, lecz słynne igrzyska olimpijskie wszystkie inne przewyższały okazałością swoją. W uroczej dolinie, leżącej na półwyspie peloponeskim, niedaleko morskich wybrzeży, w cieniu gajów oliwnych, co lat cztery zbierały się tłumy ludu z najdalszych okolic Grecyi, nawet z osad zamorskich, z wysp i z Azyi Mniejszej. Te czterolecia czyli olimpiady tak wielkie miały znaczenie, że służyły za miarę czasu, a pierwsze igrzyska stanowiły erę. Chcąc oznaczyć datę ważnego wypadku dziejowego, mówiono, że w tym czasie upłynęło już było tyle a tyle olimpiad, to jest tyle a tyle igrzyska się odbyło, licząc od najpierwszych.

Olimpia była miastem świętem dla całej Grecyi, posiadała liczne świątynie, w jednej z nich, nadzwyczaj wspaniałej i bogatej, składano cześć najwyższemu bóstwu greckiemu, Zeusowi, władcy piorunów, przez Rzymian przezwanemu Jowiszem. Tam w przybytku środkowym stało arcydzieło najznakomitszego rzeźbiarza ateńskiego, Fidiasza, przepyszny posąg Zeusa, ze złota i słońowej kości zrobiony. Podczas uroczystości, przypadającej co lat cztery, dążyło do Olimpii mnóstwo ludzi, aby na miejscu poświęconém składać ofiary gromowładnemu bóstwu, a igrzyska także na cześć jego się odbywały.

Były to popisy publiczne najrozmaitszych ćwiczeń gimnastycznych, szermierstwa i wyścigów; ścigano się i pieszo, na rącznych rumakach, i na lekkich, dwukołowych rydwanach. Zwycięzcy wkładano na czoło wieniec z gałązek oliwnych, a skromna ta nagroda była celem marzeń każdego Greka, zdobycie jej chwałą najwyższą. Nie każdy też mógł się o ten zaszczytny wieniec ubiegać, tylko Grek rodowity, mąż lub młodzieniec bez skazy, żadnym czynem hańbiącym nie splamiony, miał prawo należeć do igrzysk olimpijskich. Stanowiło o tém grono sędziów poważnych, tak zwanych Hellanodików, sędziowie ci przyznawali później nagrody. Tak samo

w wiekach średnich, tylko rycerz prawy i bez zarzutu mógł być przypuszczony do turniejów, które z wielu względów przypominały igrzyska starożytne.

Zwiastun publiczny, rodzaj herolda, obwieszczał widzom nazwisko zwycięzcy, a tym sposobem rozbrzmiewało ono w całej Grecyi, gdyż tłumy, rozpraszając się w różne strony po ukończeniu uroczystości, wszędzie głośiły sławę tryumfatorów. Przy ucztach i biesiadach, na cześć ich wyprawianych, występowali pieśniarze i w hymnach pochwalnych sławili bohaterskie ich czyny. Nastęrczała się więc też zaraz sposobność do popisu i dla poetów. Podanie niesie, iż Homer wygłaszał niegdyś nieśmiertelne swoje pieśni na igrzyskach olimpijskich. Rzeźbiarze mieli tu także zajęcie gotowe, każdy zwycięzca, po trzykroć wieńcem ozdobiony, miał postać swoją uwiecznić w posągu, który ustawiono w sąsiednim gaju świętym. Często nawet i rumaki i wozy, z kamienia wyciosane, lub ze spiżu wykute, przedstawiały jakiś pamiętny wyścig, jakies świetniejsze od innych zwycięstwo.

Jakże wspaniale wyglądać musiały te białe, marmurowe posągi, wśród zieleni gajów oliwnych rozsiane, te świątynie bogate ten przepych całej, drzemiącej przez lat cztery w cichej dolinie, a potem nagle przebudzone do życia, przez czas krótki brzmiący wrawą wesolą, pieśniami, okrzykami tryumfu. Nigdy żaden niepokój nie zakłócał uroczystości olimpijskich, nie słyszano tam szczyku oręża, gdyż nikt nie miał prawa zbrojnie wchodzić do świętego miejsca, a dolina ze wszystkich stron zabezpieczona była od napaści obcych nieprzyjaciół.

Według świadectwa historyków greckich, pierwsze igrzyska olimpijskie odbyły się w r. 777 przed Chr., świetność ich wzrastała stopniowo, utrzymywała się przez długie wieki przetrwała aż do czasów rzymskich. Jeszcze przy końcu II wieku ery naszej, gmachy, świątynie, gaje olimpijskie stały w całej okazałości, widział je wówczas i opisał szczegółowo podróżnik Pauzaniusz, Grek z Azji Mniejszej, można też z tego wiarogodnego opisu dokładne powziąć wyobrażenie o widowni słynnych igrzysk. Później jednak, rzecz dziwna, zapomniano zupełnie o Olimpi, znikła niepojętym sposobem z powierzchni ziemi; gdy Ateny i inne starożytne miasta greckie do dziś świecą jeszcze wspaniałymi zwaliskami, na tém miejscu gdzie niegdyś Grecya cała gromadziła niezliczone sztuki, nie pozostało z tego wszystkiego najmniejszego śladu. Jakiś straszliwy wichur spustoszenia przeleciał ponad doliną, rozciągnął wszędzie jednostajny pokład piaszczysty, dziękiem zielskiem porosły.

Przez czas długi nadaremnie szukano jakichkolwiek szczątków świętego grodu greckiego, dopiero w naszych czasach ten i ów zaczął głębiej rozkopywać ziemię i natrafił na odłamy marmurów, rzeźb, słupów, posągów. Przed kilkunastu laty profesor uniwersytetu berlińskiego Ernest Curtius zajął się gorąco sprawą odgrzebania zaginionego grodu, udało mu się wyjednać u rządu potrzebne do tego fundusze i rozpoczęto roboty. Pokazało się, że zwaliska Olimpi spoczywały głęboko pod grubą warstwą piaszczystego gruntu, tak prawie, jak Pompeja, którą w czasach nowożytnych także wydobyto z pod ziemi. Lecz o Pompei wiadano, jakim sposobem za grzebaną została, straszliwy wybuch Wezuwiusza pokrył ją lawą i popiołami; na półwyspie peloponezkiem nie słyszano o podobnej katastrofie.

Według zdania uczonych, przyczyną zniknięcia Olimpi było trzęsienie ziemi, które przy końcu XVI wieku nawiedziło tę okolicę. Gmachy runęły i zamieniły się w gruzy, a suchy piasek, który wiatr unosi ciągle z pobliskiego wzgórza powoli je zasypywał, aż w ciągu wieków wszystko znikło pod tym grubym nasypem. Dziś więc z takim trudem odgrzebują z pod starożytną Olimpią, jak Pompeję i Herkulanum.

Rząd grecki, zezwalając na rozpoczęcie robót na swojej

ziemi, zastrzegł sobie własność wszystkich odkopanych szczątków, Niemcy zdejmują z nich wierne odlewy gipsowe, oryginalne zaś składane są w muzeum w Atenach. Już do tej pory odszukano niezmiernie mnóstwo zabytków, a są pomiędzy nimi nadzwyczaj cenne. Rozpoznano według opisu Pauzaniusza miejsce gonitw i ćwiczeń gimnastycznych, gmachy, gdzie się odbywały narady sędziów, gdzie po ich ukończeniu biesiady i ucztury urządzano. Najbardziej jednak zajmujące są szczątki świątyni; wszystkie niestety! w gruzach leżą, dowód to najlepszy, iż trzęsienie ziemi było rzeczywiście przyczyną



Pożyty 307).

tego zniszczenia, nic innego nie mogło rozsypać w taki sposób mocnych murów. Wszystkie kolumny są poobalane i polamane, trudno bardzo z tych rumowisk odtworzyć całość budowli, jednakże cierpliwi poszukiwacze umieją tego dokonać.

Pośrodku obszernego placu wznosił się ołtarz wielkiego bożka Zeusa, czyli Jowisza, tu składano mu ofiary całopalne. Popiołów nie zabierano nigdy, z czasem więc nagromadziło się z nich znaczne wzniesienie. Dokoła tego placu stały świątynie, najwspanialsza z nich, w całej Grecyi nie mająca równie sobie, była także czci Zeusa poświęcona. Tu właśnie mie-

ścił się ów słynny posąg Fidyasza ze złota i kości słoniowej. Opowiadano o nim, że gdy już był wykończony i ustawiony w przybytku, kapłani zapytali bożka, czy zadowolony jest ze swego wizerunku. Wówczas, na znak najwyższego zadowolenia, padł z hukiem piorun na podłogę świątyni nie wyrządzając żadnej szkody. Jeżeli nie sam bożek, to przynajmniej czciciele jego, zachwycali się przez czas długi tém arcydziełem, a musiało na to zastąpić, my jednak znamy je tylko z opisów, niewiadomo, co się z niem stało; zapewne jeszcze przed ostatecznym spustoszeniem Olimpii przeniesione było

jeden posąg, jużby to wynagrodziło wszystkie koszty i trudy jakie poniesiono przy wykonaniu tego przedsięwzięcia. Trzeba wiedzieć, że ów Praksyteles, który żył przy końcu IV wieku przed Chrystusem, prawie o sto lat później od Fidyasza był niezmiernie wysławiany przez współczesnych pisarzy, dziełami jego cała Grecya się zachwyciała. Wykonał on wiele posągów bóstw do różnych świątyni, lecz na nieszczęście wszystkie prawie zaginęły, zaledwie parę się przechowało, a i o tych na pewno niepodobna twierdzić czy są w rzeczy samej dziełami Praksytelesa. Z owych pochwał więc tylko można było sądzić o jego talencie, aż póki się nie odnalazł w olimpijskiej świątyni wspaniały posąg Hermesa. Jest to rzeczywiście arcydzieło niepospolitej piękności, a jakkolwiek uszkodzone nieco, daje jednak bardzo dokładne wyobrażenie o wszystkich zaletach mistrza; teraz dopiero można się przekonać, że sława jego była zasłużoną, a pochwały, jakie mu oddawano, wcale nie przesadzone. Głoszono o nim, że miał dar szczególny nadawania swoim posągom wyrazu, umiał tchnąć w martwy kamień życie i myśl głęboką. Posąg Hermesa, jak przynajmniej znawcy, tém się właśnie przedewszystkiem odznacza, że jest pełen wyrazu, ta postać tak wygląda, jakby przemówić miała.

Przechowała się także wśród gruzów piękna płaskorzeźba, która zdobiła fronton świątyni. Z opisu Pauzaniusza wiadomo, że to było Pajoniosa z Francji, rzeźbiarz ten dotychczas znany był tylko z nazwiska, teraz już talent jego może być należycie oceniony, gdyż odszukano także i posąg, wyobrażający boginią zwycięstwa Nike, na którym wykute jest nazwisko tego mistrza. Wiadomo, iż posąg ten wystawiony był przez Meseńczyków na pamiątkę jakiegoś zwycięstwa, zwykle bowiem w Olimpi, jako miejscu świętym, składano podobne ofiary pamiątkowe bóstwom z łupów, odniesionych na nieprzyjaciółach. Odszukano też niezmierną ilość takich posągów, marmurowych i spiżowych, które stały pod gołym niebem, na placach i w gajach oliwnych, a chociaż są po większej części bardzo potłuczone, zabytki te mają dla znawców wartość ogromną, gdyż wykryły nie jedną nową wiadomość o sztuce greckiej. Dla miłośników starożytności wydobycie z pod zasp piaszczystych Olimpii nie mniejszą ma doniosłość, jak odkopanie Pompei i Herkulanum.

SŁAWNI W PIŚMIENNICTWIE.

przez Z. Morawską.

V.

Lukasz Górnicki.

Obok wielu zasług, jakie Lukasz Górnicki położył dla piśmiennictwa naszego, posiadał on jedną wielką zaletę, nasuwającą się mimo woli przy każdym o nim wspomnieniu. Oto dużo umiał, dużo pracował, a był nader skromnym i niezarozumiałym. Są to przymioty ludzi prawdziwie wykształconych i szczerze pracujących w raz wytkniętym kierunku. Takim był właśnie nasz najznakomitszy prozaik XVI-go wieku.

Urodzony za panowania Zygmunta I-go w Krakowie; uczył się z początku w Krakowie, potem zaś we Włoszech, w Padwie, gdzie wielu jemu współczesnych rodaków po naukę dążyło. Nauka, jaką tam sobie zdobył, była materialem do późniejszych prac jego, najważniejszą zaś dla niego szkołą był pobyt na dworze Samuela Maciejowskiego biskupa krakowskiego. Tam jako młodzieniec przypatrywał się życiu całego narodu, przysłuchiwał naradom zbierających się z różnych stron na dworze biskupa, — tam nauczył się patrzeć, słuchać i uważać, — a spisując sobie to wszystko, i w księdze, i w pa-

do innego miasta i tam zaginęło, gdyż w odkopanej świątyni nie pozostało po niem najmniejszego śladu.

Inną świątynią, poświęconą czci bogini Junony, u Greków zwaną Herą, ciekawą jest bardzo dla znawców z powodu swęj wielkiej starożytności, budowana była w VIII wieku przed Chrystusem. W środkowym przybytku tej świątyni znaleziono przepyszny posąg bożka Hermesa, czyli Merkurego, dziełem słynnego rzeźbiarza Praksytelesa. Jest to odkrycie tak ogromnej doniosłości, że, jak utrzymują ludzie uczeni, gdyby w wykopaliskach Olimpii nie odszukano nic więcej, tylko ten

mieci, stał się w pismach swoich wiernym przedstawicielem owego czasu.

Po śmierci Maciejowskiego r. 1545, młody Łukasz pozostał dworzaninem u jego następców, Andrzeja Zebrzydowskiego, i Filipa Padniewskiego. Ten ostatni nie tylko był biskupem lecz i kanclerzem koronnym; widząc więc w młodym Łukaszu niepospolite zdolności, zalecił go Zygmuntowi Augustowi. Król polubił nowego dworzanina i odtąd Górnicki stał się nieodstępnym towarzyszem monarchy. Pobyt na dworze Królewskim podał Górnickiemu myśl do napisania jednego ze znakomitszych utworów pod tytułem: „Dworzanin”.

Czytał on książkę autora włoskiego, Balcera Castiglione, pod tytułem: *Il libro cortegiano* (księga dworzanina) i z niej wziął wzór do swego utworu.

Lecz chociaż wzór miał włoski, Dworzanina jednak swego uczynił nawskroś polskim. Występują tam ludzie rozprawiający o wykształceniu potrzebnem w kraju, który w owym czasie wznosić się zaczął w coraz większą potęgę, o prawdziwej pobożności, o dowcipie, o służbie w rzeczypospolitej, o układnej powierzchowności i o wielu zaletach, każdemu potrzebnych. Górnicki powiada: „Ja ganię niektóre nasze Polaki i ktokolwiek taki jest, kto powiada, jakoby nauka rycerskiemu rzemiosłu wadzić co miała; owszem twierdzę, iż nikomu bardziej uczonym być nie przystoi, jako żołnierzowi, dlategoż chcę, aby te obiedwie rzeczy, nauka z rycerskiem rzemiosłem, pospołu spięte znajdowały się w mym Dworzaninie.” Dalej w tymże Dworzaninie przestrzega, aby będąc na dworze królewskim czy pańskim, każdy starał się być uprzejmym i grzecznym lecz nie wachał się prawdy wyświecić, i nie próbował fałszywem pochlebstwem zjednywać sobie pana, przybyłych gości lub kolegów.

Lecz mówiąc o Dworzaninie Górnickiego, musimy wyjaśnić co znaczy to miano dworzanin. Otóż w dawnych czasach znakomitsi panowie i królowie otaczali się młodzieżą szlachecką, której obowiązkiem było towarzyszyć w podróży, zabawiać, tak samego pana jako i gości, załatwiać powierzoną sprawę, a w razie potrzeby zastąpić pana lub też stanąć w jego obronie. Młodzież chętnie się garnała do takich dworów, bo tam wiele nauczyć się mogła lecz też i od dworzanina wymagano niemało zalet. Musiał mieć dowcip, zręczność w prowadzeniu rozmowy, wypowiedzieć często gorzką prawdę, lecz w sposób gładki i nieobrażający nikogo, musiał doskonale robić bronią, a nawet zręcznie tańczyć, i pieśń i śpiewać. To też nim został przybocznym dworzaninem samego pana, przypatrywał się z daleka innym, nabierając powoli ogłady.

Słusznie więc Górnicki daje dworzanom rady, bo z takich dworzan często, wielki później urastali mężowie. Mieli panowie swój dwór, miały go i panie, to też Górnicki w swojej księdze nie przepomina i o kobietach, nazywając otoczenie pani lub królowej *dwornemi paniami*. Tym dwornym paniom radzi, aby się zbyt szmatkami, a wydwarzaniem (pochlebstwem) nie zajmowały, lecz szły drogą prawdy i cnoty, a zawsze wesołość na twarzy miały. Nie myślmy jednak żeby te wszystkie rady miały być dawane w sposób nudny, owszem, ciągle opowiada jakieś anegdotki, sypie dowcip za dowcipem, a Dworzanina czyta się z przyjemnością, bo pomimo, że od jego napisania ubiegło trzy wieki, każdy w tej księdze znajdzie coś ciekawego i stosownego dla siebie. Największą zaś zaletą tego utworu stanowi, że jest napisany językiem gładkim, okrzęsany, takim, jakim mówiono na dworze Zygmunta Augusta; to też znać, że Górnicki przestawał z ludźmi ukształconymi i sam się kształcił, czytając starożytnych greckich i rzymskich autorów; że pracował nad tém jakby ojczysty język upiękniejszy i gładszym go od języka Reja uczynić.

Prócz Dworzanina, napisał Górnicki wiele jeszcze dzieł bardzo pożytecznych, a mianowicie: *Dzieje w koronie polskiej od 1538 do 1572*. Które więcej odnoszą się do spraw dworskich szlacheckich i królewskich, aniżeli do stosunku rzeczypospolitej z obcymi krajami. Są więc prawdziwemi *dziejami* domowego życia narodu. Napisał także rozmowę Polaka z Włochem, starał on się w niej wykazać wszelkie wady narodu, przez które wznieść się dostatecznie nie mo-

że, zachęcając, a żeby każdy od obcych uczył się tego, co może kraj z bogactwami a umysł rozwinąć nie zaś szmatki, mody a fatalaszki z zagranicy zwoził. Miłując język ojczysty, napisał także książkę o ortografii. Na wstępie zaraz powiadał: „Bo czemuż, kiedy inni piszą swoim językiem i my go pięknym a gładkim mieć nie mamy”.

Starajmyż się iść śladem Górnickiego, który chociaż zmarł już tak dawno bo w początku XVII wieku zawsze ze czcią wspomnianym przez rodaków będzie.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce po odejściu malców *dobrze wychowanych*, przybył z niezmiernie zakłopotaną miną Hans-John-Bull, widocznie wydelegowany przez resztę obecnych swych współziomków. Starzy stali wszyscy po za nim zdaleka, patrząc pilnie, a za nimi stały dzieci z podarunkami w rękach. Po wyrozumieniu wzajemnem pokazało się, że starszym chodziło o to, czy dzieci nie prosiły o co?... A to byłoby „rzeczą brzydka dla Samesa”. O samowolne przywłaszczenie czegoś rodzice nawet nie podejrzewali swęj dźiatwy, tak dalece wstrętny ten występek jest obcy i nie znany dobrym Samesom.

Gdy nie ja, lecz sam ojciec wytłómaczył im, że żadne dziecko nie prosiło o nic, tylko ja dałem im podarunki, ponieważ podobała mi się ich pilność w nauce, i żałowałem, iż nie zapatryłem się w książki i meteryały piśmienne, nie znajdując dzieci sameskich, wtedy radość małej ludności u podnóża Alp Skandynawskich nie miała granic. Dzieci skakały na obu i na jednej nodze jak wszystkie dzieci na całym świecie, ale trzej starzy przyszli najprzód do ojca a potem do mnie, i każdemu z nas kładli prawą rękę na ramieniu, nachylając się z miną pełną życzliwości i wymawiając wyrazy jakiegoś w czysto miejscowem narzeczu, których też dla tego nie zrozumielśmy właśnie. Hans powiedział, że to znaczyło:

— Niechaj wasze dzieci z wielkiem *rozmnożeniem* oddadzą wam życzliwość, jaką okazaliście naszym. — „Rozmnożenie” miało zapewne w tym razie znaczyć z procentem. W ogóle nie mogę nic złego powiedzieć o tych trzech rodzinach lapońskich, u których pozostawaliśmy mniej więcej ze dwie doby wypoczynku. A jednakże nie można tego zdania zastosować do wszystkich innych Lapończyków. Przekonaliśmy się nieraz, że są między nimi cheiwey, zdziery, i próżniaki. Sam znakomity Hans-John-Bull i jego towarzysze zdarli nas okrutnie, wymyśliwszy sobie Bóg wie nie jakie należytości i dodatki do umówionej zrazu kwoty za ich usługi, ale przyznać trzeba, że i drogę doskonale znali, i o nas byli troskliwi więcej daleko, niżby przypuszczać można, i z własności naszej nie tylko sami sobie nic nie przywłaszczyli, ale dbali o rzecz najmniejszą tak, jakby mieli najdoskonalsze pojęcia obowiązku.

Ojciec zauważył później, że ujemne strony charakteru spotkaliśmy w Laponii zawsze tylko u ludzi, ocierających się o obcych, u wioślarzy w portach i osadach nadbrzeżnych, najemników i t. p. Może więc uczciwy grunt duszy Sameskiej psuje się przez zetknięcie z tymi obcymi, przejmując łatwo ich wady, a niedostrzegając zalet, jak to zwyczajnie w takich razach bywa, gdyż wszelkie *zło* narzuca się bardziej oczom, niż *dobro*.

Nareszcie trzeba było ruszać w dalszą drogę. Wynajęliśmy sanie i renifery. Sanie przypominały mi żywo czasy dawnych pustot gdy własnym przemysłem zbudowawszy wielkie podobne sanki, woziliśmy się w nich z bratem Janem, czy-

gnąc na przemiany jeden drugiego. Doprawdy nie wielka była różnica, i nawet podobnie jak dawniej przewróciłem się z saniami kilka razy nie szkodliwie, zanim nauczyłem się utrzymać w nich i reniferem kierować. I cały zaprzęg, składający się dwóch postronków, przypominał mi także błogie chwile, w których „bawiąc się w konie” zaprzęgaliśmy się sami podobnie. Leje jest to kawałek trzeciego postronka, który trzeba przerzucać reniferowi to na prawo to na lewo, pociągając w stronę, w którą ma iść.

A trzeba pamiętać, że zwierzę to, choć niby najstaranniej przyswojone i z wielkim trudem nałożone do pociągowej pracy, przecież zawsze pozostaje więcej niż na wół dzikiem. Najburliwszy chłopak swawolnik, udając konia w zabawie, nie potrafi wyprawić dziwniejszych skoków, jak mój renifer i dla tego to przewracałem się tyle razy z saniami, chociaż Hans sam wprzód przejechał renifery w obu saniach, przeznaczonych dla mnie i dla ojca. Zapewniano nas, że szaleństwa naszych biegunów ustaną w ciągu podróży i tak się stało; zapewne zmęczony się trochę, zwierzęta poszły po jakimś czasie dosyć spokojnie, a i my też przyuczyliśmy się do kierowania. Wszystkie renifery podobno zawsze tak się sprawiają z początku podróży. Przewodnicy nasi wiedzieli którą jechać, aby natrafić na śnieg, trzymający się szeroko miejscami, i na okolice mniej kamieniste, bo nawet i z tak zupełnie niskich sanek, gdyby przyszło wypadać po wiele razy w takiej n. p. głazami najeżonej okolicy, jaką szliśmy po przeciwniej stronie gór, to podróż byłaby zbyt niebezpieczna.

Gdy przyszło zjeżdżać z wyżyn, przewodnicy przywiązywali każdego renifera do sanek, posuwających się przed nim tak, że cała kawalkata stanowiła jeden ciąg, a na końcu szedł renifer ostatni bez sanek, i ten, pilnowany dobrze oczywiście, wstrzymywał cały ów rząd sanek. Gdyby tak puścić z góry renifera pojedynczo z saniami, to one, ześlizgując się na niego, doprowadzić by go mogły do nowych szarów, niebezpiecznych w takim razie. Miejscami, gdy przejścia były niedogodne, lub sanna znikała, szliśmy pieszo. Nie było to ani wygodnie ani pośpiesznie, ale trudno tam bardzo o konie, a nawet gdy się znajdują, podróż taka jest za bardzo kosztowna.

Drzewo stawało się rzadsze miejscami. Czasem natrafiliśmy na śnieg pośpieszyło się znacznie. Wśród otwartej śnieżnej płaszczyzny, spotkaliśmy raz całą karawanę lapońską w pełnym pochodzie, bo teraz wszystko szło do morza, odpoczywając tylko po drodze na pastwiskach, tak właśnie, jak tamci, u których i my odpoczęliśmy niedawno. Gdy renifery wyjadą wszystko, co jest do zjedzenia, idzie się dalej. Zdaleka myślałem, że idą wozy ładowne i wojsko, dopiero spotrzegłszy dalej jeszcze znany mi już las ruchomy, domyśliłem się gromady reniferów. To, co zdawało mi się wozami ładownymi, były to także renifery obciążone sprzętami, skórami, całym bogactwem Samesów i dziećmi. W końcu szedł dopiero tłum reniferów, napędzany bezustannie ze wszystkich stron, z tyłu i z boków, z ciężką pracą przez Lapończyków i przez ich psy, duże tęgie, w pięknych futrach i dziwnie rozroztropne, a lubiące pieszczoty.

Była tego wszystkiego chmara ogromna, a na przodzie szedł jeden człowiek i jeden renifer ogromny, z tak wielkimi rogami, że zupełnie do ruchomej drzewiny były podobne, szedł krok w krok za człowiekiem, i na własne oczy widziałem, jak na proste skinienie człowieka, już w pobliżu nas, skierował się odrazu w bok, tam, gdzie człowiek palcem pokazał, a za nim skierowały się inne renifery. Ta roztropność i to posłuszeństwo zdumiały mnie niezmiernie, bo dość już miałem dowodów krnąbrności i uporu tych zwierząt. Na pierwszym przystanku zacząłem dopytywać o to Hansa i otóż dowiedziałem się znowu starą prawdę, że niema reguły bez wyjątków.

Pomiędzy reniferami zdarzają się, bardzo rzadko wprawdzie, osobistości wyjątkowe, tak nadzwyczajnie pojętne, zdolne do wytresowania, i tak rozumiejące pana, który umie się z nimi obchodzić, i tak przywiązane do niego, jak najlepsze psy. Hans mówił, że pierwszą główną rzeczą każdego hodowcy reniferów jest wyszukanie takiego zdolnego do wychowa-

nia jednego, z pomiędzy tysiąca pospolitych innych a następnie wychowanie go, porozumienie się z nim, i zaprowadzenie przyjaznych stosunków pomiędzy nim i psami. Gdy właściciel stada dokaże tego, gdy posiadzie i uzdolni sobie takiego renifera, wtedy pozbywa się połowy trosk i pracy około swego stada, jakby zyskał dziesięciu pomocników ludzi. Taki renifer bywa zawsze odznaczającej się piękności i siły, i rogów olbrzymich, które są główną tego zwierzęcia ozdobą. Umie on wywalczyć sobie i zachować przewagę nad całym stadem swych współbraci i staje się ich prawdziwym wodzem, umiałby ich zmusić do posłuszeństwa, gdyby się opierali, ale to się nie zdarza, bo stado całe bywa ślepo posłuszne takiemu wodzowi, który ze swej strony rozumie prawie słowa i skinienia swego przyjaciela-człowieka i jest mu dobrowolnie uległy. Idzie on zawsze naprzód, prowadząc całe stado nawet w morze, gdy człowiek, siadłszy w łódkę, wiezie je na pobliską wysepkę na pastwisko, co się bardzo często zdarza.

Słuchając opowiadań o roztropności takich wyjątkowych reniferów i popijając kawę, pogodziłem się z nimi i spytałem czy nie moglibyśmy pojechać dalej wierzchem na reniferach, tak, jak widziałem na własne oczy jadące starsze dzieci. Hans nie zaprzeczył, że dla niego byłoby to daleko wygodniej ale wątpił, czy potrafimy utrzymać się na naszych biegunach. Ojciec jednak postanowił spróbować, przewodnicy urządzili nam coś niby siedzenia z kołder i postronków, i bodaj czy nie było nam to wygodniej, niż w saniach, które mają tę wadę, że są za niskie w stosunku do reniferów. Czyni to wprawdzie wywrót nieszkodliwym, ale utrudnia bardzo kierowanie i męczy jadącego,

Teraz dostaliśmy się na ciągle pastwiska, drzewo tu znika czasem tylko ukazywały się brzozy stare a małe, nędzne a krzywe. Śnieg i gdzieniegdzie z pod roztopionego śniegu wyglądające barwne mchy, a czasem kwiat jaskrawy, i duży, a zresztą pustynia. Jednak znać na śniegu liczne ślady reniferów, wędrujących do morza; jak wszystkie gromady przejdą, i całe te koczońnicze bandy rozkoszować się zaczęły na wybrzeżach świeżą trawką i brakiem komarów, wtedy na tych polach, które przebywamy, będzie prawdziwa pustynia. Ptaków tu prawie nie widzę, spotkaliśmy tylko wilka, który uciekł, pędząc za śladami stad. Zaciekle, nienawistne krzyki naszych przewodników, poleciały za nim. Nie mogli odzalaować, że nie mieli czasu wziąć łyżew na nogi, bo wtedy wilk nie byłby im uszedł z pewnością, i dużo reniferów ocalałoby od zębów tego rabusia.

(d. c. n.)

Sprawozdanie z konkursu robót.

Z radością oznajmić nam przychodzi, że koohane czytelniczki Wieczorów uwzględniając myśl naszą ofiary dla ubogiej dziatwy z własnej pracy, nadesłały nam dużo ładnych i starannie wykończonych robótek, które niemałą sprawiły uciechę biednym obdarzonym niemi sierotom, pozostawiając na zawsze wspomnienie dobrego uczynku tym które je wykonały.

Uproszczone przez nas panie do sądzenia robót przyznały nagrody następującym paniom:

Gierpliwosci 10 letniej.—Dzierlatkce z nad Zharu 8 letniej.—
— Bładej Rózyccze 11 letniej. — Czarnuszce 15 letniej. —
Sobócce 9 letniej.—Ptaszynie 14 letniej.—Żyrafie 13 letniej.—
Złotój Wierzbie 13 letnia. — Kamelii różowej 12 letniej. —
Turkawce z nad Bystrzycy 15 letniej. — Pszczółce litewskiej 10 letniej. — Małopolance 12 letniej. — Czarnuszce z Mroczkowa 8 letniej. — Gwiazdce z Małej Rusi 11 letniej. — Topolce 14 letniej. — Fiołkowi 11 letniej.—Topolce srebrnolistnej 11 letniej. — Jaskółce z nad Warty 13 letniej.—Jodełce 13-0 letniej.—Sarence 12 letniej. — Prymulce białej 12 letniej.—
Zubniance 14 letniej.—Kamelii białej 13 letniej.—Ostróżce polnej 11 letniej.—Cyganeccze z nad Horynia 13 letniej.—Kukułce z pod Lublina 8 letniej.—Wytrwałości 12 letniej. — Sarence z nad Wisły. — Muszelce z nad Bałtyku 8 letniej. —

Różyczce alpejskiej 13 letniej. — Chińskiej różyczce 9 letniej. — Sarneckie z nad Sanu 13 letniej. — Białej Różyczce 11 letniej. — Pszenicze 8 letniej. — Pszczółce z Lucyna 14 letniej. — Kamelijce z Lucyna 12 letniej. — Sarence z Lucyna 10 letniej. — Prymulce różowej 12 letniej. — Różyczce polnej 11-0 letniej. — Białej lilijce 13 letnia. — Aurykli 13 letniej. — Poziomce 12 letniej. — Szczebiotce 11 letniej. — Kalince z Graczy 8 letniej. — Sarneckie z Siedlec 12 letniej. — Iskierce z Siedlec 8 letniej. — Gajówce z nad Obry 13 letniej. — Stakato 10 letniej. — Przędzy 13 letniej. — Jabłonce z Podola 12 letniej. — Mysze 7 letniej. — Żabce z nad Smotrycza 9 letniej. — Jerzyncy z Drewnicy 12 letniej.

Na odznaczenie i z tego tytułu na obrazki pamiątkowe zasługują:

Cierpliwość 10 letnia. — Meduza 11 letnia. — Malwa 14 letnia. — Wikcia Z. 14 letnia. — Helenka Z. 12 letnia. — Mania Z. 11 letnia. — Psotka 14 letnia. — Rusałka 12 letnia. — Trawka 11 letnia. — Etna 11 letnia. — Stokrotka różowa 9 letnia. — Lunia K. 10 letnia. — Różyczka z Odesy 13 letnia. — Cegielka 10 letnia. — Pliszka z nad Gopła 10 letnia. — Ninka 8 letnia. — Tuja 13 letnia. — Ostróżka 13-0 letnia. — Laszka 13 letnia. — Marylka U. * — Lipa z Małej Rusi 12 letnia. — Wiochna z pod Lublina 14 letnia. — Podolanka 13 letnia. — Malina z Siedlec 14 letnia. — Stokrotka z nad Stochodu 12 letnia. — Reginka 11 letnia. — Niezapominajka z nad Grabówki 14-0 letnia. — Kwiat granatu 11 letnia.

Nadesłane robótki oddane zostały w części do Szpitalika dziecinnego, a w części do przytułku Śgo Wincentego a Paulo dla małych sierotek i innych bardzo ubogich dzieci pod zarządem Sióstr Miłosierdzia. Kochanym czytelniczkom które pośpieszyły za pośrednictwem naszym obdarzyć ubogą dźwiatwę, serdeczne w jej imieniu składamy podziękowanie jakkolwiek pewni jesteśmy, że najmiłszą nagrodę znajdują we własnym zadowoleniu.

Panienki zamieszkałe w Warszawie i w bliższych okolicach, zechcą same lub przez okazyą zgłosić się do redakcji naszej po odbiór nagród, wymieniając dla uniknięcia pomyłki obok pseudonymów prawdziwe swoje nazwiska które są u nas zapisane.

SZARADA.

(Od Niuni z Kącika dla Niuni z Poninki).

Pierwsze płynie przez kraj włoski,
Drugie miejscowość bez troski,
Wszystko razem herb szlachecki,
Wspomina o nim Niesiecki.

Łamigłówka anagramowa.

(Od Prymulki różowej dla Słomki).

1. Cypel. 2. Nora. 3. Akta. 4. Owad. 5. Dzida. 6. Obraz. 7. Raki. 8. Trawa. 9. Bale. 10. Brona. 11. Siano. 12. Grab. 13. Kara. 14. Serce. 15. Karta. 16. Żowy. 17. Wola. Z każdego z tych wyrazów, nie dodając ani ujmując liter, tylko porządek ich zmieniając, utworzyć inne wyrazy, a początkowe ich litery utworzą tytuł bardzo pięknej powieści.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Zagadki:

Cień.

Czarodziejskiej sztuczki:

Odjąć litery, z których się składają wyrazy: Jan, dama, oko, on, nie, a zostanie — Dziurka.

Kronika Rodzinna.

„Kronika Rodzinna” wychodzić będzie w kwartale przysyłym w tymże samym kierunku i warunkach. Zamieszczając artykuły treści poważnej, powieści, komedye, wspomnienia z podróży, korespondencye z Paryża, Londynu, Berlina, Wiednia i inne.

Prenumeratory „Kroniki,” otrzymać mogą po cenie niższej różne wartościowe dzieła i oleodruki, wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, oraz w dodatku bezpłatnym wydane nakładem Redakcyi PAMIĘTNIKI MARY WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.

PRENUMERATA roczna w Warszawie rs. 4, na prowincyi, w kraju i zagranicą rs. 5 — (t. j. w Galicyi reń. 6 — w Poznańskim marek 10), stosownie do tej ceny oplata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi: Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (drzew.) — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Pożyteczny wierszyk (z drzew.) p. Azet. — Gród starożytny zagrzebany pod ziemią. — Sławni w piśmiennictwie p. Z. Morawski. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Sprawozdanie z kursu robót. — Łamigłówek, rozwiązania. W Dodatku: Wacjo (z drzew.) — Modne ubranie, wiersz Ludwika Niemcewskiego. — Gdzie jaskółki leca? p. Wiochny z pod Lublina. — Niezadowolone, opowiedział Michał Krzemień. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.

WACIO.

Wacio widział, jak dziadunio czytał, leżąc wygodnie na szeslongu. Dziadunio jest staruszek, krzyż go często boli, i nogi także, nic dziwnego, że potrzebuje takich wygod. Naszemu Waciowi przyszło do głowy położyć się na kanapce w salonie tak samo, nogi oparł na poręczy, wziął książkę z obrazkami do ręki i tak sobie leżał. Mama weszła do pokoju i zdziwiona tym widokiem, rzekła:

— Cóż to znów za zwyczaj, mój Waciu? czy nie mo-

i gorliwie, zasłużył więc teraz na odpoczynek na stare lata i pobiera dożywotnią pensją, która mu się słusznie za długoletnią pracę należy. Naśladujże, mój Waciu, dziadunia, ale go naśladuj porządkiem, to jest, ucz się dobrze za młodu, potem pracuj w obranym zawodzie tak sumiennie, jak on pracował, a na starość będziesz miał prawo wypoczywać z wszelkimi wygodami.

Cpowiedziano wieczorem dziaduniowi, jak to Wacio chciał go naśladować, uśmieł się staruszek serdecznie, wszyscy też z chłopczyka żartowali i przypominali mu



... wziął książkę z obrazkami i tak sobie leżał...

żesz usiąść przyzwoicie przy stoliku? Któż widział, żeby chłopiec się tak wywracał na kanapie.

— A mama mówiła — odparł Wacio — że dziadunia we wszystkiem naśladować trzeba. To przecież dziadunio tak samo leżał sobie z książką na szeslongu.

Mama nie mogła się wstrzymać od śmiechu na te słowa synka i powiedziała:

— Bardzo to pięknie i raz jeszcze ci powtórzę, że radabym, ażebyś dziadunia naśladował; tylko widzisz, mój synu, trzeba robić wszystko po kolei, tak samo, jak dziadunio. Gdy on był w twoim wieku, z pewnością nie wylegiwał się na szeslongu, bo słyszałeś, jak opowiadał, że zawsze na pierwszym miejscu siedział w klasie i co rok brał pierwszą nagrodę. Ukończywszy nauki, dziadunio zaczął uczyć innych, przez lat kilkadziesiąt był nauczycielem, profesorem, a dziś jest już emerytem, to znaczy, że przez czas długi spełniał obowiązki swoje sumiennie

przy każdej sposobności, że ma we wszystkiem naśladować dziadunia. Gdy tłukł orzechy, ciocia wołała, że dziadunio orzechów nie jada, bo zębów nie ma; gdy biegł do ogrodu z piłką lub obręczą, zaraz ktoś się odezwał: a czyż dziadunio bawi się kiedy w piłkę lub obręczami? Wacio śmiał się z innymi, bo zrozumiał już teraz, jak to trzeba dziadunia naśladować.

MODNE UBRANIE.

Zosia ma krótkie sukienki,
Tak jak je noszą panienki,
U których wiek bardzo młody
Nie zna, czem są świata mody;
U Zosi jasno-blond włosy

Spadają w dwie długie kosy,
Nie tamując ruchów ciała.
Raz jednakże Zosia mała,
Spostrzegłszy rzeczy nieznanę,
Panie straszliwie splątane
W swoich sukniach, niby w workach,
Chodzące na dużych korkach,
Tak jak na szczydłach chłopaki:
— Co oznacza ubiór taki?...
Zapytała swojej niani.
— Tak się nosi każda pani,
Która modną pragnie zostać.
— I ja chcę mieć taką postać...
Woła Zosia — bez mozołu
Można suknię zszyć u dołu,
Zlepić korek wraz z trzewikiem,
Będę wtedy panną z szykiem...

Mama, słysząc te życzenie,
Powie: — Jak chcesz, tak się stanie,
Ujrzysz, jaki z tęp ambaras.
Więc odzieżą Zosię zaraz
Po modnemu, lecz w tym stroju
Trudno chodzić po pokoju,
Skakać zaś wcale nie można...
Ledwie postąpić z ostrożną,
Buch o ziemię. — O! masz tobie,
Co ja teraz biedna zrobię?
Co? rzecz prosta, porzuć modę,
Bo dziewczynki takie młode
Winny krótkie mieć sukienki,
Jakie dla każdej panienki
W wieku Zosi mojem zdaniem,
Najwłaściwszém są ubraniem.

Ludwik Niemojowski.

Gdzie jaskółki lecą?

Pewnego ładnego popołudnia w jesieni, na progu schludnego domku szewca wioskowego, siedziało dwoje dzieci. Mogły one mieć około lat ośmiu i dziewięciu, dziewczynka wiła do kościoła wianki z polnych modraków i kąkoli, a chłopiec robił sobie łuk dość zręcznie, wyrzynając go z drzewa, nagle przerwał swą robotę:

— Patrz ino, Basiu — zawołał — jaskółka z małemi wyfruwa już z gniazda. Szkoda! chciałem na niej popróbować mojego łuku, a tymczasem gotowa odlecieć, nim go skończę.

— Nie jesteś chyba tak złym, Wojtusiu, żeby zabijać te biedne ptaszki, które ci w niczém nie zawiniły — odparła Basia poważnie — ale, dodała — chciałabym też wiedzieć, gdzie one tak co roku odlatują na zimę?

— Chcesz, to ci powiem — odezwał się jakiś miły głosik, tuż obok nich, i zdziwione dzieci ujrzały przed sobą panienkę „ze dworu”, trzymającą w ręku bukiet traw najrozmaitszych.

— Panna Marya! — zawołały dzieci, witając ją radośnie.

— Jak widzę, poznałyście mnie od razu — odparła przybyła — wracając z przechadzki usłyszałam waszą rozmowę, a ponieważ mam wolny czas obecnie, siadę tu obok was, i odpowiem na twoje pytanie, Basiu.

To mówiąc, usiadła panienka, a wijąc wianki wspólnie z Basią, w te odezwała się słowa:

— Jaskółki, nie mogą znieść ostrych mrozów naszego kraju w porze zimowej; ażeby się więc od nich uchronić, lecą daleko, bardzo daleko, do kraju zwanego Afryka, gdzie wieczne panuje lato.

— Czy to jeszcze dalej jak do *Warszawy!* — spytał Wojtek zaciekawiony.

— O, mój mały, to tysiąc razy dalej, jak do Warszawy — rzekła panienka, uśmiechając się łagodnie — długo to i męcząca podróż, żeby się tam dostać, trzeba przebyć morze, gdzie wiele ptaszek ginie.

— A co to jest morze, panienko? — przerwała nieśmiało Basia.

— Jest to jakby niezmiernie duży staw, lub jezioro, tylko że woda w nim nie taka dobra, jak w naszej Bystrzycy, ale gorzkawo słona i bardzo, bardzo głęboka. W morzu żyją ogromne ryby, a także i te koraliki, co je masz na szyi, Basiuniu, na dnie tej wody rosną. Ten obszar wody jest bardzo szeroki i młode jaskółki muszą się pilnie w lot wprawiać, żeby podołać wszystkim trudom tej długiej podróży. Nie bardzo im się to podoba, ale wiedzą, że całe życie nie można siedzieć w ciepłym gniazdku, uśtaném przez rodziców i pod skrzydłem mateczki, że zmarłyby tu i zginęły z głodu, bo one żywią się główkami owadami, które chwytają w powietrzu, a wiecie, że w zimie nie ma u nas owadów. W późnej jesieni więc są już dość silne i tak zręczne, że mogą pofrunąć z innemi do Afryki. To zadziwiające, moje dzieci, pomyślcie tylko, jak idziecie z matusią do kościołka, o milę ztąd, to już jesteście bardzo pomęczeni, a taka ptaszyna, którą rączką przykryć można, frunie tak daleko — zakończyła panienka, patrząc na szeroko otwarte, pełne podziwu oczki dwojga dzieci.

— Mój Boże, jak to panienka ślicznie opowiedziała; zkąd panienka wie o tęp wszystkim? — spytała Basia ciekawie.

— Z książek, kochanko; z nich to dowiadujemy się o tylu ciekawych rzeczach, że niema chyba nic przyjemniejszego w świecie.

— A ja zawsze myślałam, że nauka to rzecz bardzo nudna — odezwał się Wojtek.

— Teraz jednak sam pewno poznałeś, że tak nie jest i ażebyście się jeszcze lepiej o tęp przekonali, opowiem wam codzień coś ładnego; bo czy was to nie zaciekawia naprzykład, dlaczego deszcz pada, czemu słońeczko świeci, zkąd się na niebie bierze tęcza, gdzie się sól znajduje, jakim sposobem koral z morza dostały się na szyjkę Basi? Wszystko to ja wam wytłumaczę, jeśli słuchać uważnie będziecie.

— O dziękujemy, dziękujemy panience — wołały dzieci uszczęśliwione — już pewno z nas panienka zadowoloną będzie.

A Wojtek dodał:

— To i ja już z łuku do jaskółek strzelać nie będę, teraz, kiedy wiem, że to takie mądre, choć małe ptaszyny!...

Wiochna z pod Lublina.

NIEZADOWOLONE,

opowiedział **Michał Krzemień.**

(Dalszy ciąg).

— A fe! któż to mówi „nieprawda” kto mówi „no ty!” to jest nieprzyzwoicie tak mówić! — odezwało się czwar-te pisklę, głaszcząc sobie miękkiem jeszcze dziobkiem na-gie skrzydełka, tak, jakby się już cesało.

— Patrzcie ją, tę strojnisię, to ona czesząc się, mu-szcząc w ciasnym gnieździe, potraça nas i popycha i jeszcze będzie nam dawać moralne nauki! — zapiszczały na raz trzy spierające się pisklęta i w gniewie szarpnęły się wszystkie trzy odrazu, aby strojnisię w kąć popchnąć, ale strojnisia była mocnym i dobrze zbudowanym pisklę-ciem, więc ani drgnęła z miejsca, lecz za to najmłodsze piąte, chore biedactwo, któremu szyjka nadkręciła się trochę, gdy z rdzowana matka nie miała już sił mu przy-wychodzić z jajka pomagać, teraz popchnięte przez czworo silniejszych wypadło z gniazda na ziemię. Wobec takiej katastrofy, pisklęta kłótlive struchlały zrazu na myśl: Co matka powie? a potem jak się zaczęły sprze-czać o to, kto winien, to się stał taki wrzask, że aż wszy-scy sąsiedzi z domów powybiegali, patrząc z przeraże-niem na okropny wypadek. Wtém zdala ukazała się Srokska, ogromną jakąś zwierzyneą dzwigając dla dzieci, chrabąszcza, czy coś podobnego. Sąsiedzi skryli się do mieszkań, a dzieci ze strachu nie wiedząc co czynić, zmrużyły oczy, przytulając się do siebie, jakby spały. Srokska tedy przylatując z przeciwnej strony, nie z tej, gdzie leżało zabite pisklę, zastała wszystko na pozór w porządku i ucieszona zawołała:

— Trzrzy! trzrzy!... zbudźcie się, dziecińcy, niosę wam jeść! — na to wołanie pisklęta łakome zapomniały już o wszystkiem, prócz jedzenia i cztery nagie długie szyje z dużemi, rozwartemi jak czerwone czeluście dziobami i gardłami, wysunęły się chciwie do Srokskiej, przypominając nie żartem cztery małe węże...

— A gdzie piąte? ratujcie! nieszczęście! gdzie moja piąta chora pieszczota! rozbój! porwanie! ratujcie! — tak krzyczała Srokska okropnym głosem, rozlegającym się na cały las, ujrawszy brak piątego pisklęcia. Była jak nieprzytomna z żalu i przestraszu. Sąsiedzi zbiegli się i otoczyli ją, pocieszając na wszystkie sposoby, poka-zując leżące na ziemi biedactwo i objaśniając katastrofę. Wrzask był taki wielki, że nawet pani Gilska w różowym fartuchu, zaniepokojona przyleciała zobaczyć, co się stało? i dowiedziawszy się rzekła:

— Moja pani Srokska, trudna rada, różne to chodzą wypadki pomiędzy ptactwem, twoja pieszczotka już jest bez życia i twoja boleść nic jęj nie pomoże, a jak będziesz

rozpaczać nad nią, zamiast zając się pozostałemi dziećmi, to i one marnie zginą — i to powiedziawszy, pani Gilska otarła oczy różowym fartuchem i poleciała co tchu do własnych dzieci. Słowa jęj dopiero oprzytomniły nie-szczęśliwą Srokską, otarła i ona oczy białym fartuchem i końcami czarnej mantyli, zamilkła i żywo poczęła dzieci karmić i ogrzewać. Sąsiedzi, nie mając już na co patrzeć, naradzali się, co zrobić z nieszczęśliwym pisklęciem, le-żącym na ziemi, gdy wtém długa, wysmukła mordka z bardzo ostremi zębami wychyliła się z za krzaczka leszczyny, cichuteczko dotknęła nieżywego pisklęcia i biedactwo znikło...

— Lisoski! nieszczęście! Lisoski jest w okolicy! ucie-kaj, komu życie miłe! — takim krzykiem zabrzmiała w tej chwili okolica i w mgnieniu oka opustoszała, ptactwo pierzchnęło. Lis zjadł nieżywe pisklę, obliżał się, spoglądając z daleka na gniazdo, z którego ono wy-padło, i odszedł z wolna, oglądając się... Głucha cisza nastąpiła w lesie po tym zgrozą przejmującym wypadku. Ale ponieważ wszystko mija z czasem, więc i wrażenie minąć musiało powoli.

Srokska, nakarmiwszy i ogrzawszy zmniejszoną ro-dzinę i wywiedziawszy się dokładnie, co i jak zaszło w gnieździe, pokiwała smutno głową i po namyśle tak rzekła:

— Stało się! przyczyną nieszczęścia jest wieczne wa-sze niezadowolenie: temu było za ciasno, tamtemu nóżka trochę zcierpła, trzeciemu zachciało się cesać, a mogło z tém przecież na mnie poczekać, i ztąd poszło wszystko złe. Zastanówcież się sami nad skutkami wad waszych i sprawujcie wedle mych rozkazów, aby i was co złego nie spotkało, gdyż ja będę musiała często was pozostawiać samych, aby przynieść żywność, której z każdą chwilą będziecie więcej potrzebowały, ponieważ szybko rośniecie.

To rzekłszy, poleciała Srokska znów po żywność, a pisklęta przestraszone zachowały się dosyć spokojnie na ten raz, i tak samo było przez kilka dni, dopóki wra-żenie nie przeszło, ale wtedy...

Właśnie tylko co Srokska wyleciała z domu, gdy Li-soski, krążący tam oddawna, zjawił się pod gniazdem. Chodził, patrzył, przemyślał, i w żaden sposób dostać się nie mógł do sporych już teraz piskląt, które wspania-łą mogły być dlań ucztą. Te jego manewra, a mianowicie oblizywanie się ciągle, zwróciło uwagę przechodzą-cego tamtędy Jędrusia, wiejskiego chłopaka nicponia, który zamiast iść do szkoły, poszedł w las, ptaszki młode z gniazd wybierać. Lisoski na widok tego chłopca uciekł, poznawszy, że to ten sam, który jemu śliczne lisiątko porwał ubiegłego roku, ale chociaż Lisoski uciekł, to Jędrus pozostał już na stanowisku, pewien, że musi tam gdzieś w pobliżu być coś do złowienia, nie wiedział jednakże w którym miejscu, a że gniazdo było doskonale przez doświadczoną Srokską osłonięte, więc byłby go pewno nie dopatrył i poszedł sobie dalej, gdyby zrazu cichy a potem coraz głośniejszy pisk nie zwrócił jego uwagi. Dzieci to Srokskiej krzyczały, poswarzywszy się z sobą zawsze o jedno i toż samo, to jest o ciasnotę w gnieździe coraz większą, ponieważ one codziennie bar-dziej rosły:

— A usuńże się!
 — A nie pchajże się!
 — Miejsze rozum, co ty robisz! ty nieznośne stworzenie!

— Czy rozum tracisz! czy chcesz, żebyśmy wszystkie z gniazda powypadały, panu Lisoskiemu prosto w pa-szczękę?

Tak krzyczały pisklęta Srokskiej, lękając się Lisoskiego, ale o niczym więcej nie myśląc, ponieważ mądry Jędrus stał nieruchomy, jak pień, oczami tylko i uchem się kierując, a one nie znały ludzi i sądziły, że to jest pień prawdziwy. A jednak Jędrus, chociaż zdawał się mądry, nie musiał mądrym być na prawdę, kiedy nie poznał z pisku, jakie to były pisklęta. Gdyby był poznał, byłby z pewnością kiwnął ręką i poszedł dalej, bo sroki nie są zdatne na pieczeń ani na rosół nawet, a tymczasem on usłyszawszy pisk, wdrapał się za głosem, i dopiero zobaczywszy pisklęta, poznał z czém ma do czynienia.

— A bodajcie lis zjadł, nim ja wlażem tutaj do ciebie, plemię srocze! — krzyknął wzgardliwie, i dawszy palcami potężne cztery prztyczki w dzioby czterech ptasząt, Jędrus zamyślał już odejść, bo nie był znów tak bardzo niegodziwy, żeby miał niszczyć gniazda bez żadnego powodu. Trzeba zaś wiedzieć, że wybierał on ptaszki po to, aby ułożywszy je długim rzędem między dwa drewnianki, sprzedać na targu i grosz zarobiony w ten niemły sposób odnieść ubogiej rodzinie. Jędrus biedaczek był taki nieszczęśliwy, że nie nauczono go lepszego sposobu zarobkowania. Widząc tedy przed sobą sroki, które mu się na nic nie zdały, już miał zejść na dół, gdy przyszła mu jedna myśl do głowy:

— A nuż panienka we dworze, której Andzia nosi poziomki, da parę groszy za gniazdo srok, tak jak dała dopiero co za gniazdo skowronków, chociaż zaraz wypytała, zkąd wzięte i odniosła je tam napowrót?... Niech sobie odnosi, jeśli chce, byle dała trochę groszy...

Tak sobie myśląc, biedny Jędrus ostrym nożem delikatnie odciął gniazdo Srokskiej od jego podstawy, i nie naruszywszy go wcale, włożył całe w swój lyczkowy szerek kapelus, i umiejętnie uwiązawszy sobie ten kapelus u szyi, zszedł na dół wraz z całym gniazdem. Pisklęta, prawie nieżywe ze strachu, przytuliły się do siebie, pochowały główki pod pierzaste już trochę skrzydła, i ani się ruszyły z przerażenia, sądząc, że co chwila zabite będą w przejściu tém straszliwém. Dopiero gdy przestały uczuć różnego szarpania i rzucania, jakiemu ulegało przez pewien czas całe gniazdo, każde z nich otworzyło po jedném oczku, aby zobaczyć, co się też to z niemi dzieje przy tak dziwnym spokoju...

Spostrzegły zaraz, że wraz z gniazdem leżą w ganku wiejskiego dworu, o jakim już im matka dokładnie opowiadała. Cisza była naokoło, więc sroki przyglądały się ciekawie okolicy, gdy wtém na mały szelest zamknęły oczy ze strachu, i wtedy to usłyszały jakiś głos trochę podobny do głosu pana Gilskiego, pana Wróbleskiego, pana Wiewiórskiego, i pana Lisoskiego razem, a głos ten mówił:

— Ziuniu! Ziuniu! pójdźno tutaj, przystąp do tej kupki zeszcłej trawy w kącie ganku i powiedz do niej Trzzzy!... trzzzy!...

Zapanowało znowu krótkie milczenie i nastąpił szelest cichutki i nagle młode sroczi usłyszały nad sobą taki milutki głosik, zupełnie jakby to rodzona ich matka pani Srokska wołała, powracając z wycieczki:

— Trzzzy! trzzzy!... zbudźcie się, dzieci, niosę wam jeść!...

Oczywiście na to wołanie wszystkie cztery długie, żmijowate szyje z czerwonymi wewnątrz dużymi dziobami wysunęły się w górę i dzioby się rozdziwiły, krzycząc na wyścigi:

— Trzzzy! trzzzy! dawaj, matusiu! dawaj!

— Och! jakież to brzydkie! to jakby węże! i syczy dziwnie! — krzyknęła Ziunia i odskoczyła od gniazda. Była to nieduża milutka dziewczynka, a za nią zaraz stał jej starszy braciszek Lucyś:

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Wiewióreczki z nad Kamionki dla Skałki z nad Teterowa).

miar	rzysz	mie	ka
rzą	ci	ka	Ja
mie	ka	ta	od

ROZWIĄZANIE DO N-ru 37-go.

Zadania konikowego:

Ziarnko do ziarnka to będzie miarka.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

Leonii Rudzkiej

dawniej **Herman.**

Przyjmuje uczennice stałe i przychodnie, prócz nauki zapewnia opiekę i konwersacją obcych języków.

Zapis uczennic odbywać się będzie od 20 Sierpnia przy ul. Zielnej Nr 7 i Wielkiej Nr 42.

W redakcyi naszej można powziąć wiadomość o nauczycielce wyższej, z dobrimi rekomendacyami.